

Róziiewicz, Jerzy

"Polacy w Petersburgu", Ludwik Bazyłow, Wrocław 1984 : [recenzja]

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 30/2, 384-388

1985

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



tezami teorii dysocjacji elektrolitycznej. Owocowało to — jak informuje W. W. Siemiukow — swoistą teorią jonowej hydratacji.

Artykuł ten, podobnie jak teksty J. I. Sołowiewa i A. N. Kriwomazowa, wydobywa z dorobku N. A. Morozowa co cenniejsze ujęcia, które znalazły takie czy inne rozwinięcia w światowej literaturze chemicznej. Można natomiast powątpiewać, czy był to efekt spowodowany wpływem jego prac. Sądzić mi raczej wypada, że był on spowodowany tym, iż chemia światowa rozwijała idee analogiczne do poglądów N. A. Morozowa i to niezależnie od niego.

O innych pracach, zamieszczonych w książce, nie będę się tu wypowiadać, ponieważ nie leżą one na linii moich profesjonalnych zainteresowań. Książkę oceniam jako pożyteczną i interesującą przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że pokazuje zmagania człowieka borykającego się skutecznie z przeciwnościami losu; po drugie dlatego, że zawiera sporo informacji mogących posłużyć do syntetycznego opracowania dziejów teoretycznych badań w dziedzinie chemii. Biografia N. A. Morozowa dostarcza też wiele interesujących przekazów o epoce, która ciągle — w dziedzinie nauk ścisłych — czeka na swego historyka. Sądzę przy tym, że lektura książki może być pouczająca pod niejednym względem.

Stefan Zamecki
(Warszawa)

Ludwik Bazyłow: *Polacy w Petersburgu*. Wrocław 1984 Zakład Narodowy imienia Ossolińskich 473 ss. nlb. 2.

Obszerne dzieło o Polakach w Petersburgu napisał profesor Uniwersytetu Warszawskiego — Ludwik Bazyłow. Okazało się ono ostatnim w Jego dorobku naukowym. Gdy pisałem tę recenzję, Profesor jeszcze żył i pracował nad kolejnym dziełem poświęconym cywilizacji rosyjskiej, ale zasnął nagle i po kilkunastu godzinach, 17 stycznia 1985 r., życie zakończył.

Profesor Bazyłow (ur. 14 IV 1915 r. we Lwowie, absolwent i doktor Uniwersytetu Jana Kazimierza) opublikował wiele książek o Rosji XIX i początkach XX wieku oraz o jej powiązaniach z Polską. Nieustrudzony na tym polu, w ostatnich kilkunastu latach obdarzył czytelników kilkoma wartościowymi dziełami, jak choćby: *Dzieje Rosji* (wyd. 2 Warszawa 1977), *Obalenie caratu* (wyd. 2 Warszawa 1977), *Ostatnie lata Rosji carskiej. Rządy Stołypina* (Warszawa 1972), *Spoleczeństwo rosyjskie w pierwszej połowie XIX wieku* (Wrocław 1973), *Syberia* (Warszawa 1975). W każdej z nich znajdziemy mniejsze lub większe fragmenty poświęcone nauce i ludziom z nią związanych. I każda z tych książek, wydawanych w dość wysokich nakładach, nie poleżała długo na półkach księgarskich. W księgarniach krótko też gościła, wydana w dziesięcioletnim nakładzie, książka, o której chcę coś niecoś napisać.

Polacy w Petersburgu: politycy, poeci, pisarze, dziennikarze, uczeni, lekarze, inżynierowie, aktorzy, muzycy, a nawet i sportowcy oraz tysiące bezimiennych robotników i urzędników wtopionych w obce milionowe środowisko, próbujący się organizować w przeróżne stowarzyszenia, grupujący się najczęściej wokół kilku parafii katolickich. A jeszcze ci, którzy wpadali do „Wenecji Północy” na kilka tygodni czy miesięcy, zwykle dla załatwienia tu „u samej góry” rozlicznych interesów: spadkowych, uzyskania koncesji czy zwrotu skonfiskowanych przez władze carskie dóbr rodowych. Wszystko to ma na uwadze Ludwik Bazyłow. Temat podjął niezwykle rozległy, a i okres, którym się zajmuje, krótkim nie jest. Dwa stulecia! Nie ma więc sensu większego wypominać Autorowi, że to i tamto pominął,

jakiejś ciekawszej wizyty nie odnotował, że zbyt mało pisze o działających w stolicy nad Newą pewnych osobach czy instytucjach.

Polakom, pracującym naukowo w Petersburgu lub kształcącym się w tamtejszych wyższych uczelniach, Profesor Bazyłow poświęcił stosunkowo dużo miejsca, mniej więcej piątą część książki, prawie 100 stron. A przecież o samych tylko Polakach studentach i pracownikach naukowych jednej z kilkudziesięciu uczelni Petersburga, mianowicie Uniwersytetu Petersburskiego, można napisać odrębną, wcale obszerną książkę.

Oczywiście można, ale tylko wówczas, gdy przeprowadzi się bardzo żmudne, skomplikowane i długotrwałe badania, przede wszystkim archiwalne. Od razu tu powiedzmy, że książka Bazyłowa o Polakach w Petersburgu, podobnie jak i jego książki wymienione wcześniej — poza dziełem *Obalenie caratu*¹ — nie są oparte na materiałach archiwalnych. Autor, wytrawny uczony, zdaje sobie doskonale sprawę, iż można mu z tego powodu czynić ewentualne zarzuty. Z werwą, właściwą dla jego pisarstwa, uprzedza je takim wyznaniem:

„Trudno byłoby pominąć całkowitym milczeniem problem materiałów nie drukowanych, przynajmniej w sensie wyjaśniającym. Nie należy sobie bowiem wyobrażać, że w archiwach leningradzkich czekają na klientów dziesiątki szaf z etykietami «Polacy w Petersburgu», «Polacy w Piotrogradzie», i tylko brać, wypisywać, dawać do przedruku i wzbogacać naukę. Nie ma takich zespołów archiwalnych — trzeba by prowadzić długie poszukiwania i mieć wielkie szczęście, żeby znaleźć jeszcze parę nieznanymi nazwisk, często też bez pewności, że chodzi rzeczywiście o Polaków. Mogłyby niekiedy coś wnieść akta osobowe, ale chyba tylko do artykułów przyczynkowych o bardzo wąskiej tematyce. Autorowi pracy poświęconej całokształtowi zagadnień nic lub bardzo niewiele przyjdzie z tego, że będzie o jakiejś średniej osobistości wiedział nawet trzy razy więcej niż wie” (s. 8—9).

Można byłoby zaryzykować i stwierdzić, że właściwie Autor nic w swej książce nowego nie napisał, niczego nie odkrył. Wykorzystał tylko dorobek swych poprzedników, przeczytał mnóstwo przyczynków, wspomnień, wypisał wiele szczegółów z różnych książek poświęconych osobistościom, wyciągnął ze słowników biograficznych — już wcale licznych, a głównie z *Polskiego słownika biograficznego* — potrzebne mu informacje, od czasu do czasu zajrzał do gazet i czasopism z opisywanego okresu. I wszystko to uporządkował, scalił, skomentował, przypasował do wymyślonej konstrukcji, opartej na zasadach chronologii, rzucając ten obfity materiał na tło ogólnego rozwoju stolicy Rosji w powiązaniu z warunkami politycznymi i ekonomicznymi w cesarstwie. Czy to mało? Sądzę, że ogromnie dużo.

Książka Bazyłowa o Polakach w Petersburgu będzie zapewne chętnie czytana, choć faktografii, dat i nazwisk w niej wiele, ale wszystko to podane jest w sposób przejrzysty i przystępny, o co — jak mi się wydaje — Autor szczególnie zadbał. Używa on języka barwnego, klarownego, okraszzonego często anegdotą i dowcipem z przymieszką złośliwej ironii; wielu taką lekturę bardzo lubi, będą jednak i tacy, których mogą irytować niektóre wyrażenia Profesora — niekiedy ocierające się właściwie już o język potoczny. Rzucają się też w oczy krótkie komentarze odautorskie, mniej lub więcej dowcipne, nieraz ograniczające się do jednego dosadnego wyrażenia.

Jak już wspomniałem, Autor stosunkowo dużo pisze o Polakach pracujących naukowo w Petersburgu. Większe fragmenty poświęcił między innymi: Janowi

¹ W dziele tym Bazyłow wykorzystał w dużym zakresie przechowywane w archiwach Moskwy i Leningradu akta policji i osławionej „ochrony”, kancelarii Rady Ministrów i Dumy Państwowej.

Potockiemu, Żegocie Onacewiczowi, Aleksandrowi Chodkiewiczowi, Ignacemu Daniłowiczowi, Józefowi Sękowskiemu (prawie 10 stron!), Romuładowi Hubemu, Józefowi Mianowskiemu, Stanisławowi Ptaszykiemu, Włodzimierzowi Spasowiczowi, Janowi Baudouinowi de Courtenay, Tadeuszowi Zielińskiemu, Leonowi Petrzyckiemu. Z instytucji naukowych polskich lub z Polską ściśle związanych Bazyłow najwięcej pisze o Rzymsko-Katolickiej Akademii Duchownej, o losach wywiezionej do Petersburga Biblioteki Załuskich oraz o Związku Polskim Lekarzy i Przyrodników (przy czym prawie zawsze prawidłowo podaje nazwę tego stowarzyszenia, czego — niestety — magminnie nie czynią inni autorzy wspominający ów Związek), a także o Polskim Towarzystwie Miłośników Historii i Literatury. Kilkanaście stron w sumie dotyczy Polaków w wyższych uczelniach petersburskich, w tym niemal połowę zajmują informacje o Polakach w Petersburskim Instytucie Technologicznym. Wszystkie te sprawy są znane i już wielokrotnie opisywane, choć nie zawsze w publikacjach łatwo dostępnych czytelnikowi.

Jeśli chodzi o tematykę związaną z dziejami nauki polskiej w Petersburgu, to zauważyłem stosunkowo mało potknięć faktograficznych. Oto one: Józef Mianowski był profesorem terapii szpitalnej, a nie fizjologii; Józef Łukaszewicz nie był profesorem Instytutu Geologicznego — uczelni o takiej nazwie w Petersburgu nie było (chodzi zapewne o Instytut Geograficzny); Henryk Merczyng nie był profesorem, ani też wykładowcą, w Instytucie Górniczym; Władysław Kotwicz nie był „akademikiem”, tj. członkiem rzeczywistym Akademii Nauk w Petersburgu, wybrano go (w 1923 r.) jedynie członkiem korespondentem tej instytucji; Edward Kowerski i Zygmunt Woysław nie byli profesorami Instytutu Górniczego, ale tylko wykładowcami (w systemie organizacji szkolnictwa wyższego w Rosji różniczenie tych stanowisk jest istotne); Stanisław Łoskiewicz wykładał w Instytucie Technologicznym w latach 1886—1912, a nie — jak podaje Bazyłow — w latach 1890—1910; Kazimierz Smoleński rozpoczął wykłady w tejże uczelni w 1907 r., a więc w trzy lata później od podanego roku przez Bazyłowa; o ile mi wiadomo Kierbedź nie wykładał w Instytucie Górniczym, w każdym razie jego nazwisko nie pojawia się w oficjalnych spisach profesorów i wykładowców tej uczelni; nie potwierdzają też archiwalne akta osobowe informacji o studiach Stanisława Szczepana Zaleskiego na Uniwersytecie Petersburskim, a Ksawerego Praussa w Instytucie Technologicznym (pierwszy ukończył Cesarski Uniwersytet Warszawski, a następnie na dłuższy okres związał się z Uniwersytetem Dorpackim; Prauss natomiast studiował w innej uczelni petersburskiej: Instytucie Górniczym). Razi też wielokrotnie używana nazwa uczelni krakowskiej — Akademia Górniczo-Hutnicza, nazwa dopiero przyjęta od 1949 r., Autor zaś ma na myśli międzywojenną Akademię Górniczą.

Z kilkoma stwierdzeniami czy sugestiami Bazyłowa o niektórych osobach, przede wszystkim ich stosunku do polskości, można byłoby dyskutować, wydają się bowiem zbyt apodyktyczne, jednostronne. Autor w swej książce wiele razy domaga się — i słusznie — umiaru i dostrzegania różnych, jakże skomplikowanych uwarunkowań w tych sprawach. Nawołuje, aby „nie rozszepiać włosa na czworo”, a mimo to zdarza mu się takie rozszepianie.

Chodzi tu między innymi o wybitnego filologa klasycznego Tadeusza Zielińskiego, który przed I wojną światową miał niechętnie przyznawać się do polskości, używał imienia w brzmieniu rosyjskim Faddiej z otieczestwem Francewicz, a w okresie II wojny światowej „niestety” wyjechał z Warszawy do Niemiec. Powołanie się na świadectwo autora pięknych refleksji literackich o Petersburgu — Jarosława Iwaszkiewicza — jest absolutnie niewystarczające. To nie żaden dowód, żadne źródło. Ani Iwaszkiewicz nie mieszkał w Petersburgu, ani też nigdy w tym mieście nie był. Po raz pierwszy — i chyba jedyny — zobaczył dawną

stolicę Rosji mając 77 lat czyli w 1971 r.² Natomiast — o czym Autor zapewne doskonale wiedział — wszyscy Polacy pracujący w Rosji i publikujący po rosyjsku oficjalnie używali imion i „otieczestw” według zwyczaju rosyjskiego. Faktem jest jednak, że Zieliński do początków XX w. nie utrzymywał bliskich kontaktów z nauką polską, ani też polską kolonią w Petersburgu, co jeszcze nie znaczy, że wypierał się polskości. Można powiedzieć, że wracał do niej powoli, świadomie, zważywszy choćby to, że od dziesiątego roku życia wychowywał się poza domem rodzinnym, a następnie studiował i pracował w środowiskach całkowicie nie polskich. Tym więc bardziej zasługuje na podkreślenie, że gdzieś około 1905 r. zaczął się Zieliński integrować z petersburską Polonią, nawiązał kontakty z filologami polskimi w zaborze austriackim, a w czasie I wojny światowej stał się jednym z najczynniejszych działaczy w polskim środowisku naukowym Piotrogradu (między innymi współtwórca i prezes Polskiego Towarzystwa Miłośników Historii i Literatury, wicedyrektor Wyższych Kursów Polskich). Być może, że znaczną rolę w dojściu aktywnym Zielińskiego do polskości odegrał przybyły do Petersburga jesienią 1900 r. Baudouin de Courtenay, z którym Zieliński przez wiele lat stykał się na Uniwersytecie Petersburskim (obaj byli profesorami zwyczajnymi na Wydziale Historyczno-Filologicznym) i u którego bywał w domu.

W ostatnich latach życia, w Bawarii — do której, po zburzeniu we wrześniu 1939 r. mieszkania warszawskiego, wywozła go opiekująca się nim córka (uczony miał wówczas 80 lat) — Zieliński dał też wiele dowodów swego przywiązania do polskości, a nawet miłości³ do kraju, w którym spędził mniej niż czwartą część swego życia.

Można też dyskutować, czy był członek Zgromadzenia Filaretów wileńskich, wybitny orientalista Józef Kowalewski „zatracił polskość zupełnie w ostatnim okresie życia”. Przytoczony przez Bazylowa fragment pamiętnika Juliana Bartoszewicza jako dowód tego stwierdzenia jest nie wystarczający, jak też przypomnienie „o całkowitej rosyjskości” syna orientalisty, malarza Pawła Kowalewskiego. Nie ma, a przynajmniej takiego nie znam, faktu wyparcia się przez Kowalewskiego pochodzenia polskiego, ani też jakiegokolwiek lżenia polskości przez niego, podobnego, jak czynił to, na przykład inny orientalista związany swą młodością z Wilnem, Józef Sękowski. Ostatnie lata Kowalewskiego nie były łatwe dla niego. W Szkole Głównej Warszawskiej — do której się przeniósł z Kazania, pozo-

² J. Iwaszkiewicz: *Petersburg*. Warszawa 1976 s. 51. Fragment, czy raczej fragmencik, który Iwaszkiewicz poświęcił Zielińskiemu, ja nieco inaczej odczytałem niż Profesor Bazylow. Pamiętać należy, iż wiedza pisarza o Zielińskim z okresu petersburskiego pochodziła z zasłyszanego niegdyś lub przeczytanego. A w swoim życiu Iwaszkiewicz obracał się w towarzystwach interesujących i nasłuchiwał się mnóstwa historii od starszych, anegdot, plotek, wspominków. Jest to materiał dla pisarza bardzo interesujący, dla uczonego także — jednak po bardzo dokładnej weryfikacji. Zresztą Iwaszkiewicz w swych refleksjach wyraźnie mówi o Zielińskim jako o „wielkim Polaku”.

³ Świadczy o tym m.in. wyznanie uczonego, wyrażone w przedmowie — zatytułowanej *Żęsknota*, a mającej charakter „testamentu i spowiedzi” — do dwóch ostatnich tomów jego dzieła *Religje świata starożytnego*, napisanych (i dotychczas nie opublikowanych) w Bawarii. Pozwolę sobie przytoczyć jeden z fragmentów tej przedmowy: „Był jednak Polakiem i, tęskniąc za Ojczyzną, odczuwał wyłącznie ją, polską tęsknotę. I owocem jego tęsknoty był — *Pan Tadeusz*. I ja też jestem Polakiem, chociaż, niestety, nie Mickiewiczem. I owocem mojej tęsknoty tu, na tym nie bruku, lecz asfalcie górnobawarskiej wioski jest niniejsza książka”. Cytuję z maszynopisu przechowywanego w Leningradzkim Oddziale Archiwum AN ZSRR, f. 977 op. 1 d. 14 k. 2. Przedmowa nosi datę 22 XII 1943. Inny egzemplarz tej przedmowy, wraz z ostatnimi tomami (V i VI) *Religji świata*, przechowywany jest w Oddziale Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Por. M. Plezia: „*Dziecię niedoli*”. *Ostatnie dzieło Tadeusza Zielińskiego*. „*Analecta Cracoviensia*” 1983 s. 355—366.

stawiając tam rodzinę i stanowisko rektora uniwersytetu — nie uzyskał katedry w swej specjalności, w ogóle w uczelni tej języków orientalnych nie nauczano. Wykładał więc historię powszechną, przedmiot prawie mu obcy. W Warszawie miał nadzieję opracowywać przywiezione z Kazania materiały orientalistyczne, ale wszystkie one spłonęły w okresie powstania styczniowego. Spłonął też rękopis jego sześciotomowego dzieła *Podróż do Chin i Mongolii w latach 1828—1831*, które bezskutecznie wcześniej starał się wydać po polsku.

Kowalewski, nie mając w Warszawie żadnego naukowego środowiska orientalistycznego, samotny, rozgoryczony, intelektualnie już właściwie „jałowy”, nudnie „odklepywał” wykłady, do których nie miał serca. Fakt, że w Szkole Głównej wykładał po polsku, a w Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim po rosyjsku, nie świadczy, iż „zatracił polskość zupełnie”, a jedynie tylko to, że podporządkował się narzuconym przez władze rygorom, podobnie jak musieli to uczynić wszyscy pracujący w tej uczelni Polacy, również byli wykładowcy Szkoły Głównej. Prawdą jest natomiast, iż w Warszawie Kowalewski nie obnosił się zbyt manifestacyjnie ze swą polskością ani też nie nawiązywał do szczytnych ideałów swej młodości (choć z żyjącymi przyjaciółmi wileńskimi utrzymywał kontakty, a Antoni Odyniec wpisze mu się w 1865 r. do sztambucha: „Po 40 latach Kocham Cie równie szczerze, równie serdecznie, jak dawniej”). A tego młodzież polska nie mogła mu wybaczyć, jak również i tego, że posłusznie wypełniał polecenia władz, chcąc być lojalnym profesorem-urzędnikiem uniwersytetu rosyjskiego w Warszawie.

Chyba też Kowalewski nie poświęcał wiele uwagi swym dzieciom, pozostawiając całkowicie ich wychowanie swej żonie, prawosławnej Rosjance. Obu jego synów, malarza i chirurga, profesorów uczelni rosyjskich, do Polaków zaliczyć nie można. Dajmy jednak temu spokój, tym bardziej, iż fragment poświęcony Kowaleskiemu nie należy właściwie do tematu książki, związki jego bowiem z Petersburgiem były nikłe i tylko raczej pośrednie.

Wreszcie należy wspomnieć o szacie graficznej książki. Kolor papieru nie jest typowy, jaskrawo-żółty, a przede wszystkim wielka włamanych w tekst ilustracji, aż 203, z których 28 — to portrety uczonych, a 12 przedstawia budynki różnych instytucji naukowych (głównie uczelni wyższych) lub z nauką blisko związanych. Szkoda, że w spisie ilustracji nie zaznaczono, skąd one pochodzą, z jakich publikacji je reprodukowano, gdzie przechowywane są niektóre oryginały. Wzmianka: „zdjęcia z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego” i „ze zbiorów prywatnych autora” — moim zdaniem — w publikacji naukowej jest daleko nie wystarczająca.

Jerzy Rózewicz
(Warszawa)

N. S. Czoczia, A. A. Dmitrijewa, N. G. Konkina: *Stanisław Wikentjewicz Kalesnik*. Izd. Leningradskowo Uniwersitieta, Leningrad 1983 ss. 112.

Publikacja dedykowana jest wybitnemu geografowi radzieckiemu polskiego pochodzenia, Stanisławowi Kalesnikowi, który zmarł w 1977 r. Składa się ona z ośmiu zasadniczych rozdziałów. W pierwszym nakreślono dość obszernie życiorys profesora. Z tekstu dowiadujemy się między innymi, że urodził się on 23 stycznia 1901 r. w Petersburgu, dokąd jego ojciec, Wincenty, wraz z matką Józefą i trojgiem dzieci przenieśli się z dawnej wileńskiej guberni. Jako Polacy byli wyznawcami religii rzymskokatolickiej i dlatego zapewnił synowi elementarną naukę w petersburskiej niższej szkole katolickiej, mieszczącej się wówczas na Wyspie Wasilewskiej. Kolejny etap edukacji naszego rodaka — to gimnazjum ukończone